

Kronika tygodniowa.

Jako wojenny kronikarz „Nowości Ilustrowanych” zdecydowałem się nareszcie wyruszyć na plac boju, na razie jednak nie wiem jeszcze, do której się przyłączyć armii. Na wojnie w każdym razie nie jest bardzo bezpiecznie, lepiej i wygodniej siedzieć w domu, zwłaszcza że i tam nie miałbym wolnej woli, ale bardzo energiczne *oberkommando* w osobie mojej czcigodnej połowicy, która oświadczyć raczyła zupełnie stanowczo, że samego mnie nie puści, ale chce, jako prawdziwa dozgonna i wierna towarzysza życia nie opuszczać mnie aż do śmierci, jak to czynić przed ołtarzem przysięgła.

Ten dowód miłości wzruszył mnie do głębi, wytłumaczyłem jej przecież, choć dużo mnie to kosztowało, że na razie przynajmniej, umierać nie myślę wcale, jeśli bym zaś znalazł się rzeczywiście na polu bitwy, to w każdym razie w bezpiecznym miejscu, dokąd kule nieprzyjacielskie nie dochodzą. Zresztą w rozporządzeniu ministerjalnym, normującym warunki wyruszenia jako sprawozdawcy wojenny, niema wcale między tłumokami, które wolno wziąć ze sobą, żony.

Uwierzyla mym słowom, założyła jednak swoje uroczyste *veto*, a od niego, na podstawie naszych konstytucji domowych, niema apelacji.

Nie pozostało więc nic innego, jak zostać w Krakowie i czekać, dopóki nie wyjadę w przeciwnym kierunku, gdyby się okazało, że nagromadzone zapasy wojenne nie wystarczą w myśl przepisów na zaspokojenie żarłoczności mej rodziny. Pocięszam się przecież miłą nadzieją, że może w międzyczasie uda się złapać kapryśną Fortunę za ogon i zdobyć na loteryi klasowej bodaj ze dwa tysiące (może być więcej...), zwłaszcza, że ciągnięcie trwa aż do piętnastego października.

Opatrzność czuwa nad potrzebującymi, jak to mam dowód na mym przyjacielu, adwokacie, który przez całe dwa miesiące wojenne narzekał na brak dochodów z powodu prawie całkowitego zawieszenia czynności sądowych. W niebieskich widocznie licząc się z adwokatami, jęki i westchnienia mecenasu nie poszły więc na marne, sam pokazywał mi dwa losy, na które „chcił” po dwa tysiące i coś ze sześć po dwieście koron. W portfelu nosi nadto jeszcze ich ze dwadzieścia, które czekają dopiero na swą kolej.

Jeśli by kto był ciekawy, jak się ten pan nazywa, nie powiem, obiecał mi bowiem pięć procent *schweig-geldu*, ponadto z panem inspektorem podatkowym żyję na bakier i nie myślę wcale napędzać mu w sieć złotą rybkę. Jestem pewny, że wiedząc, kto to taki, jeśli by nie wymierzył mu podatku od wygranej, to co najmniej podwyższył dotychczas opłacany, motywując swe zarządzenie „szczęściem, jakie ma w życiu”.

Dajmy temu jednak spokój, a przystępujemy do rzeczy.

Zamiast tulać się gdzieś po polu walki, siedzę sobie więc w Krakowie na... stolku redakcyjnym, miast miecza dzierzę w dłoni pióro, czasem zaś nożyczki, huk armat, moździerzy i karabinów maszynowych zastępuje mi trąkotanie kochanej żony, teściowej i trojga pełnoletnich pociech (rodzaju żeńskiego, wobec czego poszukiwani są kandydaci do stanu małżeńskiego, szczególnie zaś mile widziani będą zamożni kawalerowie i wdowcy).

Od czegoż jednak fantazja, a któryż kronikarz bez niej mógłby istnieć? Będę w Krakowie ciałem, ale duchem znajdę się na polu bitwy, odganiając mężnie mieczem lub parasolem granaty, bomby i szrapnele, by przypadkiem który z nich nie wpadł mi za koltierz. Jednem słowem naśladować będę wojownika, lubiącego opowiadać wszem wobec i każdemu z osobna o swych przewagach wojennych. Postać to stara, unieśmiertelnił ją już nieboszczyk Plautus w swej komedyi *Miles gloriosus*.

W części będę się starał go naśladować, częściowo wezmę sobie za wzór tego lub owego bohatera z nowszych czasów, których mamy dość między sobą.

Gdzie on nie był!... Czego nie widział!... Aż uszy puchną, gdy zacznie opowiadać, a człek, słuchając, powtarza ciągle pod nosem:

— A to, panie łaskawy, łże, jak z nut..

Ale łganie łganiu nie równe, są ludzie, którzy bardzo lubią słuchać tego rodzaju fantastyczne opowieści i udają przynajmniej, że wierzą, by nie speszzyć narratora. Przy miłym akompaniamencie słów jego daleko lepiej smakuje pilzner lub okocim, każda bowiem knajpka ma bodaj jednego takiego bohatera głównego i kilku zapasowych, którzy go zastępują, gdy ochrypnie.

Pan taki musi mieć odpowiednie rozmiary cielesne wszcz i wzdłuż, niktby bowiem nie uwierzył, że jakiś tam chudeusz lub niedorostek położył trupem takie masy wrogów. Dawniej, to co innego. Wówczas, za czasów Wołodyjowskiego lub choćby Napoleona, który był wprawdzie niskiego wzrostu, ale zato dość otyły, walczone zupełnie inaczej, dziś obaj oni mogliby służyć co najwyżej przy *Ersatz-reserwie*, jeśli nawet nie przy pospolitem ruszeniu.

Ponadto musi być obdarzonym i donośnym głosem, by bodaj pojedyncze słowa słyszać było i na końcu sali, mieć dobry apetyt i nieustające pragnienie, bo tylko taki może mieć siłę w swych muskularnych członkach.

Chętnie słucham tego rodzaju prelegentów, dobrze też wychodzę na tem i choć nosa za rogatki nie wystawiłem, bojąc się, by mi go nie ustrzelono (nie wiem, czy to jest dobre wyrażenie, ale o podobne obraził się na mnie jeden znajomy pigularz, który dotąd zaopatrywał mą apteczkę po znajomości całkiem gratis w olej rycynowy, rumbabarum i inne domowe środki...), dziś sam widzę, że byłbym zdolny do czynów nadzwyczajnych, mogę więc o nich opowiadać, jako o już dokonanych. Błogosławieni zaś są ci, którzy wierzą, albowiem będą zbawieni!

Otóż, słyszałem niedawno w jednym z lokali podobną rozmowę i o ile pamięć sięga, pozwolę sobie tutaj ją powtórzyć.

Osoby: opowiadający bohater, z zawodu jakiś urzędnik, obecnie pospolitak i grono ciekawych słuchaczy. Przed każdym bomba, naturalnie z piwem. Sala sklepiona, wcale akustyczna, wieczór.

— Więc pan łaskawy był na wojnie?

— No! Niechby tylko nie!

— A w których potyczkach?

— Nie pytaj pan, gdzie byłem!... Raczej zapytaj, gdzie nie byłem!

— Więc gdzie pan nie był?

— Hm.. Jakby to powiedzieć?... Ja nie byłem nigdzie!... To jest... źle się wyraziłem! Dziś już, widzi pan, nie pamiętam nazwy miejscowości, ale to wiem, że tam były drzewa, nad nami niebo. Zdaje się, że płynęła i rzeka, ale na to bym nie przysięgał!...

— I strzelali tam?

— A cóż pan myśli?... Dobry sobie! Jak to zaraz poznać burżuja, który nie ma żadnego pojęcia o rzemiośle wojennem... Ale tego można się nauczyć dopiero na polu walki, a nie gdzieś przy piwie... Szrapnele padały jeden za drugim, powiadam panom, jak grad! A trzeba wam wiedzieć, że nieprzyjaciół początkowo napełniał je piaskiem, później, gdy mu brakło piasku, ekrazytem. Jeden z takich szrapneli ugodził mnie w samą głowę i właśnie dlatego straciłem pamięć.

— Taki z piaskiem?

— Nie!... Skądże znowu!... Z ekrazytem!... Mogę panom go pokazać na dowód, że nie kłamię. Mam go w kieszeni kamizelki... Nie!... Pardon!... Zostałem w domu. Jutro przyniosę.

— Ależ panie! Szrapnel w kieszeni marynarki? Pan chyba nie widział, jakie szrapnel ma rozmiary?

— Ja nie widziałem...? To pan nie widział! Ja zresztą nie mówiłem, że to cały szrapnel, tylko jego małeńki odlamek, bo on przecież, uderzywszy o moją głowę, musiał eksplodować! O! Ja mam bardzo twardy łeb!...

— A dużo wrogów wysłał pan kochany własnoręcznie na tamten świat?

— Ja?

— Tak jest, pan!

— Będzie tego z pewnością co najmniej kilkadziesiąt tysięcy, a może i więcej... Osobny jaszczk z amunicją musiał ciągle za mną postępować. Raz jednak niewiele brakowało, a byłbym życiem przypłacił. Uratowała mnie jednak moja przytomność umysłu. Idę, panie, polem, sam, jak palec. Jak daleko sięgniesz okiem, ani żywego ducha. Nie miałem zaś przy sobie żadnej broni, prócz szabli, bo rewolwer dałem służącemu do czyszczenia... Wtem nagle z pod krzaku wypada jeździec, za nim drugi, potem trzeci, czwarty, piąty... Nie było czasu liczyć, z pewnością jednak było ich, co najmniej, ze stu... Nie tracąc fantazji, wałę do jednego z przodu, do drugiego z tyłu.

— Co? co?... Z czegoż, jeśli wolno zapytać, skoro pan nie miał przy sobie broni palnej?

— Ja nie miałem? Któż panu o tem mówił?

— Pan sam! Wyrażnie pan powiedział, że dał pan rewolwer do wyczyszczenia!

— Tak! Dałem, to prawda, ale służący zwrócił mi go przed wyjściem i dzięki temu ocalałem. Gdy wrogowie spostrzegli, że co strzał, to trup, w nogi, panie! Ja za nimi, ale nie mogłem ich dogonić, bo mi reumatyzm dokucza i dlatego podałem się o dopuszczenie przed komisję superarbitrunkową. Gdyby nie to, byłbym wszystkich razem wziął do niewoli!

Ale, co się odwlecze, to nie uciecze! Jeszcze ja im się dam porządnie we znaki.

— No! no! Nie każdy zdobyłby się na coś podobnego!...

— Myślę sobie: Sam generał gratulował mi na polu bitwy i tak powiada: „Panie oficyste, jestem z pana dumny!” Wicie panowie, mój płaszcz prze-strzelony został czterdzieści trzy razy! Jestem arcy-cypies, jak mawiał Zagłoba, jeśli kłamię... Mogę pokazać każdą dziurkę, jeśli panowie pofatygujecie się do mnie do mieszkania!

— To jednak dziwne, że płaszcz jest taki ze strzelany, a panu łaskawemu nic się nie stało!...

— Bo też ja tego płaszcza nie miałem wtedy na sobie... Mój bursz suszył go na płocie. Nadjechał nieprzyjaciół i nie zastawszy mnie, a mieli na mnie chrapkę, zemścił się bodaj na mym płaszczu!

— Skądże wiedzieli, że to był pański?

— Alboż ja wiem?... Dość, że wiedzieli i *szluss!*...

Tego mniej więcej pokroju dyskursy stanowią dla mnie wzór, według nich będę się starał opisywać swe rycerskie przewagi. Mocno żałuję, że nie jestem poetą, utworzyłbym bowiem takie epos, iż nieboszczyk Homer, jeśli wogóle kiedy żył, musiałby się z zazdrości przewrócić w grobie.

Ja jednak niestety nie wierzę dziś w to, czego mnie w szkołach uczono, widzę bowiem, że to była po prostu błaga. Wszak na podstawie zasad matematyki każdy z nas jest przekonany, że trójka, to są trzy jednostki, niech jednak ktoś popatrzy na trójkątnym i trójpokoźniku!... Pierw. ze składa się z dwu jednostek, w skład drugiego zaś wchodzi: Anglia, Francja, Rosja, Belgia, Serbia, Czar-nogóra, Japonia i Marokko. I na cóż więc się zdało, że miałem w klasie piątą poprawkę z matematyki? Niechbym był wówczas powiedział, że trójkąt ma dwa boki, lub ośm boków, byłbym zrył, jak pies!

Ale prawda! Matematyka co innego, polityka co innego! Wszak i trójkąt małżeński ma nieraz więcej, niż trzy boki!...

W jednym tylko zgadza się to, czegom się ongi uczył, z tem, co się dziś dzieje, ale to nie jest matematyka, lecz historia.

Gdy swego czasu Germanowie przetrzepali lekko szarawary Warusowi w lesie Teutoburskim, cesarz August wołał z rozpaczą: „Warusie! Warusie! Oddaj mi moje legiony!...” Dziś powtarza się to samo z tą jednak różnicą, że Augustowi na imię Mikołaj, który płacze: „Rennenkampf! Rennenkampf! Oddaj mi moje korpusy!...”

Ale pocóż lał tam, gdzie go nie proszono?

Odpowiedz na to: nakazały względy wyższej polityki, te same, które zaprowadziły Moskale ku granicy Węgier. Jak bowiem karakony ciągną do piwa, tak znów Moskale idą do węgierskiej papryki, której używa się jako przyprawy do marynowania. Może się o tem przekonać każdy, kto używa wyrobów pana Warhanka z Mszany Dolnej. W każdej baryłce i w każdej puszcze z moskalami znajdziesz oryginalną paprykę węgierską.

Czekajmy więc cierpliwie na ową marynatę, a będzie ona tem smaczniejszą, że moskale dobrowolnie włożą do owej beczki, z której mają wyjść, ale już zupełnie sprawieni, więc bez głów.

W każdym razie imponuje mi ich ruchliwość, tak samo jak z drugiej strony wprawia mnie w podziw stoicki spokój, z jakim zachowuje się flota angielska, która czeka, ale nikt nie wie, na co. Gdyby nie Niemcy, wysadzający od czasu do czasu w powietrze angielskie okręty, nie słyszałby nikt nic o nich, a przecież miała to być eskadra, przeznaczona na zniszczenie wszystkich potęg morskich.

Lord Curzon nie dożyje więc prawdopodobnie tej chwili, w której jeźdźcy bengalscy kłusować będą po ulicach i drogach Austrii i Niemiec. — W Berlinie znajdują się może, lecz w zmienionej nieco roli, nie tej, jakiej się spodziewał, ale jako jeńcy wojenni. Tak przepowiadają zresztą wielcy nasi politycy z „Esplanady”, a ci, jak wiadomo, kierują dziś losami Europy, ba, nawet całego świata!

Wobec tego i ja odkładam na później opis swych przygód na polu bitwy. Nawet na wypadek, gdyby wojna wcześniej się skończyła, będę w tem miłym położeniu, że jako naoczny świadek opiszę wszystko, com słyszał na swe własne uszy.

Franciszek Martin, Kraków

Rynek gł. L. 6 (Szara kamienica)

poleca: **bieliznę męską** białą i kolorową, **krawaty, skarpetki, rękawiczki, szelki, chustki** do nosa, **trykotarze w wielkim wyborze** po nader niskich cenach.

1

Cenniki darmo i opłatnie.